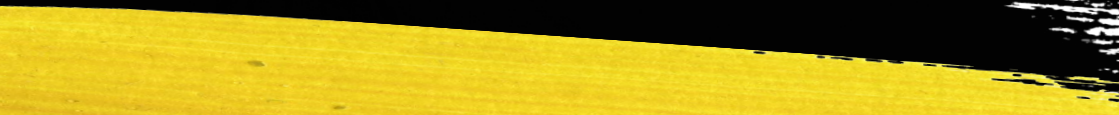


Jonasz Milewski

**NON
KONFOR
MISTA**

Taschen



Jonasz Milewski

**NON
KONFOR
MISTA**



Warszawa, 2022

Copyright © by Jonasz Milewski, 2022

Copyright © by Wydawnictwo Latzel, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Warszawa 2022

Projekt okładki: Wydawnictwo Latzel

Redakcja: Wydawnictwo Latzel

ISBN: 978-83-966514-0-2

Wydawnictwo Latzel

ul. Cybernetyki 7F

02-677 Warszawa

www.latzel.pl

kontakt@latzel.pl

Książka jest wizją artystyczną autora, inspirowaną prawdziwymi wydarzeniami.

Rozdział I

- Złotem jest to, co nim nazwiemy -

Teschen, Österreichisch-Schlesien

niedzielne przedpołudnie, 2 września 1906 roku

Potężni, niedostępni, lecz ich chwałę ku niebu podnoszą tłumy.

Gdy zechcą, miażdżą. Głośnymi krzykami gardzą, są dla nich jak szumy.

Miłością darzą jeno własne imię, najśłodsze wino ich jaźni.

Trzymaną przezeń siłą nic nie zachwieje, jej fundament osadzili w wyobraźni.

„Niebywałe, iż człowiekowi wystarczy jeno nadać szumny tytuł, by ludzie zaczęli inaczej go postrzegać. Równie frapujące, skąd pociąg do czynienia bogów ze śmiertelników. Jakież sens ma przecie gloryfikowanie tego, co jest jeno umową społeczną?”. Te myśli krążyły po głowie Paula Juroschka, gdy stał ubrany w najlepszy garnitur obok wielu innych mężczyzn przywołanych do miasta Teschen.

Mieszkał niewiele ponad trzydzieści kilometrów na południe od miejsca, w którym się znajdował. Pokonanie tej odległości wymagało nie lada wysiłku. Wstał zanim wybiła trzecia nad ranem. Dzień wcześniej Hedwig, z którą ślub wziął przed dwudziestoma czterema laty, starannie przygotowała każdą część jego garderoby. Zapach krochmalu wciąż unosił się w powietrzu. Paul po dokładnym ogoleniu twarzy brzytwą, co od niedawna zaczęło być w modzie, rozpałił w piecu ogień. Zwykle pogoda we wrześniu pozwalała oszczędzać na drewnie i węglu, jednak lubił ciepłą kąpiel, przez co tę przyjemność stawiał ponad pieniądze. Piętnaście minut przed czwartą był już gotowy. Nie zjadł śniadania, ponieważ uważał, że dnia nie powinno się rozpoczynać od nagrodzenia organizmu bez wcześniejszego wysiłku fizycznego. Zawinął kawałek świeżego chleba w jedną z kartek zeszlotygodniowego wydania „Gwiazdki Cieszyńskiej” i zerwał z przydomowej gałązki dwa średniej wielkości pomidory. Posiłek wsadził do skórzanej torby przewieszanej przez ramię, ucałował na pożegnanie żonę i dzieci, którzy jeszcze spali, po czym ruszył w drogę.

Wioskę spowijała ciemność, gdy Paul jako jedyny zmierzał szeroką na trzy metry, udeptaną dróżką w stronę najbliższego miasteczka. Wyteżał wzrok, uważnie obserwując okolicę, by dostrzec miejsca warte modernizacji. Jako wójt tej miejscowości podnosił komfort życia mieszkańców, zlecając różne remonty. W ostatnich latach, dzięki jego staraniom, wybudowano we wsi kilka nowych kamiennych mostków, które pozwalały zaoszczędzić drogi leśnikom transportującym drewno. Doprowadził też do otwarcia dwóch kamieniołomów, w wyniku czego

pracę otrzymało kilkudziesięciu chłopów. Ponadto przyczynił się do powstania budynku straży ogniowej. Równie istotna, choć już mniej ceniona, inicjatywa miała związek z jego osobistym poświęceniem. Otworzył bowiem punkt informacyjny w budynku urzędu, gdzie udzielał pomocy poszukującym zatrudnienia w przemyśle. Inicjatywa ta zjednywała mu sympatię chłopców z rodzin wielodzietnych, ale i przemysłowców nieustających w poszukiwaniu rąk do pracy w coraz to bardziej rozbudowywanych zakładach. Większość jednak uznawała pomysł Paula za nieszkodliwą, choć zbyteczną nowoczesność.

Nieco ponad dwie godziny zajęło mu zejście do wioski Nawsy, gdzie znajdował się główny dworzec kolejowy w okolicy. Miejscowość nie miała strategicznego znaczenia, a ulokowanie stacji w tej wsi stanowiło ewenement na cały kraj koronny. Powodem, dla którego wybudowano tam tak istotny gmach, była niechęć mieszkańców sąsiedniego miasteczka Jablunkau do pociągnięcia torów przez ich ziemię. Tamtejsi byli przekonani, że iskry spod kół pociągów będą wywoływać pożary. Wiara w słuszność tego poglądu u niektórych nabrała takiej rangi, że gotowi byli za to obić innym mordy. Stacja w Nawsy nosiła jednak nazwę „Jablunkau”, co równie dobrze wpisywało się w lokalne powody do sporów.

Na dworcu zebrało się mnóstwo osób mających podobny cel podróży jak Paul. Wśród oczekujących na pociąg znajdował się między innymi wójt przygranicznej wsi Koniakau, młodzieńca Johann Legerski. Stojąc w pewnej odległości od reszty, kończył swoje śniadanie. W samym środku tłumu znajdował się za to wójt wsi Jaworzinka, trzydziesto-czteroletni Michael Legerski, który oburzał się za każdym razem, gdy nazywano go imieniem nadanym podczas chrztu. „Jo je Micho!” – powtarzał. Chociaż nosił to samo nazwisko co jego odpowiednik w Koniakau, nie był z nim blisko spokrewniony. W tej części Śląska Austriackiego nie w smak były zbyt dalekie poszukiwania towarzyszy życiowych, przez co zaledwie kilka nazwisk przeplatało się między sobą od pokoleń. Wójt wsi Jaworzinka, jak to miał w zwyczaju, tubalnym głosem pouczał zebranych. Orędowną, że nowo powstały „Dziennik Cieszyński” jest gazetą wiarygodniejszą aniżeli „Silesia”. Swoimi przekonaniem dzielił się tak żarliwie, że niektórzy przenieśli się z peronu do budynku dworca,

gdzie było ciszej. Wewnątrz, nieopodal wejścia, potępianą przez Legerskiego „Silesię” przeglądał burmistrz Jablunkau, Johann Zwilling, który od przypadkowych przechodniów zbierał wyrazy uznania za otwarcie nowego gmachu ratusza. Wśród miejscowych uchodził za najważniejszego z polityków, którego mogli regularnie oglądać na własne oczy przy okazji niedzielnych mszy. Z jednej strony uważano, że należy się mu kłaniać, z drugiej nie był na tyle niedostępny, by w towarzystwie szczycić się tym, że się go spotkało.

Pociąg wjechał na peron dokładnie o 7:15 rano. Stanowił okazałe dzieło austriackiego przemysłu. Tego dnia wagony przystrojono czarno-złotymi wstęgami, nawiązującymi do barw Śląska Austriackiego. Na przedzie składu dumnie wisiał także herb Austro-Węgier. Pierwszeństwo wsiadania mieli przedstawiciele gmin, dzięki czemu Paul nie czekał długo na swoją kolej. Po zajęciu miejsca na drewnianej, choć – w jego opinii – wygodnej ławce z oparciem, wyciągnął śniadanie. Pokonanie marszem trzynastu kilometrów dało mu wewnętrzne przyzwolenie na strawę.

Chwilę później usiadł naprzeciwko niego Johann Legerski, którego Paul już wcześniej zauważył. Chociaż wójt Koniakau liczył sobie dwadzieścia pięć lat, jego twarz wciąż przypominała chłopięcą. Dodatkowe wrażenie bezbronności wywoływał u niego strach, uwidaczniający się w roztrzęsionych dłoniach. Urząd wójta wsi, która była jedną z najbardziej wysuniętych na wschód i zarazem najmłodszą na Śląsku Austriackim, objął zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Nawet nie miał okazji nawiązać kontaktów z przedstawicielami powiatu politycznego, a już nakazano mu stawić się przed najważniejszą osobą w całej monarchii. Od dnia, gdy otrzymał to polecenie, stracił na wadze kilka kilogramów.

– Ganc¹ nie wiem, na cóż mi też to tela starości²... – zaczął mamrotać pod nosem, używając jabłonkowskiej odmiany języka śląskiego, popularnej w tej części Austro-Węgier.

¹ Całkiem (śl.)

² zmartwień (śl.)

– Cóż to za starość cię dopadła, bracie? – zapytał Paul, odkładając swoje śniadanie na mały stoliczek, przymocowany pod oknem. Nie wyobrażał sobie kontynuowania posiłku podczas rozmowy.

– Aaa po próżno řžöndzić³... Pysrzi roz přžidzie mi stoć přži takich panach. Nie wiyim ani co řžöndzić, čiego ni, abo či co w ogóle... – wzdychał zamyślony. – A nie wiyecie, či sie na niego można podziwiać⁴, či lepij stoć z głowöm dołu? Na bo jak sie mu nie spodoböm, a kožöm mie zastöpnić kimsi inszim? Přzeca to gańba⁵! Ludzie mie obřžöndžöm a wysidžöm... – nakręcał samego siebie, zasypując Paula pytaniami i obawami.

– Johann – zaczął wolno i ciepło – nie zamartwiaj się na zapas. Strach w istocie jest człowieczym kompanem w wielu sytuacjach. Niejednokroć ten nieproszony gość i mnie nawiedzał. Jednakowoż przekonałem się, iż większość obaw nigdy się nie spełnia – uspokajał młodzieńca, widząc jego przerażenie. Starania Paula zakłócił jednak dźwięk wydobywający się z gwizdka, trzymanego w ustach szykownie ubranego konduktora. Na ten sygnał potężna lokomotywa zaczęła ciągnąć siedem wagonów pociągu relacji Kaschau-Oderberg⁶. Zaraz po tym rozległo się głośne wołanie: „*Nächste Station – Trzynietz!*”⁷.

– Nie umiym sziumnie řžöndzić ani po niymiecku, ani po česku, ani po polsku – wrócił do wyjaśnień po chwili milczenia. – Nejjańsijszimu nie godzi sie boroków⁸ ukazować... Dyc⁹ tam bedöm tacy morowi¹⁰ ludzie! – tłumaczył, ściskając w dłoniach kapelusz.

Paul uśmiechnął się delikatnie. Chociaż dostrzegął, że jego rozmówcę ogarnia paraliż, wiedział, że nie przyptaci on za niego życiem.

³ mówić (śl.)

⁴ popatrzeć (śl.)

⁵ wstyd (śl.)

⁶ Koszyce-Bogumin (niem.)

⁷ „Następna stacja – Trzyniec!” (niem.)

⁸ borok (śl.) – ktoś sprawiający wrażenie nieporadnego, biednego.

⁹ Przecież (śl.)

¹⁰ potężni (śl.)

Serdecznie i delikatnie poklepał go po ramieniu, jak też zwyczajowo czyniło się, chcąc okazać wsparcie.

– Niech nie schodzi ci bracie z umysłu myśl, iż strach niczym jest innym, jak jeno wyobrażeniem. Rola twa dzisiejszego poranka ogranicza się nie więcej niż do stania w szeregu. Niepodobna, by tak dostojny mąż jak ty mnożył sobie zmartwień – dodał życzliwym tonem.

– Ja, ja!¹¹ – oburzył się. – Dobrze wöm řzöndzić! Wielacie¹² roków söm už fojty¹³? – odburknął, zachowując przy tym przyjętą w okolicy grzeczność, wyrażaną poprzez stosowanie liczby mnogiej w zwrotach do starszych wiekiem, po czym wlepił wzrok w okno. Juroschek nie odpowiedział rozmówcy. Doszedł do wniosku, że na ten moment zrobił wszystko, co mógł, by wesprzeć dalekiego sąsiada. Postanowił wrócić do posiłku, choć tym razem przeszkodził mu dym wydobywający się z komina lokomotywy, wpadający do poszczególnych wagonów przez uchylone okna, by wywołać kaszel i złorzeczenia podróżnych.

Po kilkunastu minutach pociąg zatrzymał się, a zza okien pasażerowie usłyszeli wołanie konduktora: „*Station Trzynietz*”. Na tym peronie, podobnie jak na poprzednim, stał tłum. Niektórzy trzymali w dłoniach małe flagi krajowe, a jeszcze inni kwiaty zerwane wcześniej ze swoich przydomowych ogródków lub kupione na straganiku przed dworcem za ćwierć korony. Do wagonu, w którym siedzieli naprzeciwko siebie Paul i wciąż wpatrzony w okno Johann, weszli Anton i Hermine Gwiggnerowie. Zauważywszy Paula, postanowili zająć miejsca obok. Znali się od wielu lat, chociaż nigdy to grzeczne koleżeństwo nie przerodziło się w przyjaźń. Anton był inżynierem hutniczym i zarządcą tamtejszego werku, jak potocznie określano założoną w 1839 roku Trzynietzer Eisenwerk¹⁴. Ponadto przez dwa lata pełnił funkcję wójta tej przemysłowej miejscowości. Ku zaskoczeniu mieszkańców swoje urządowanie zakończył rezygnacją, która miała miejsce przed czterema miesiącami.

¹¹ Tak, tak (śl.)

¹² Ileście (śl.)

¹³ wójtem (śl.)

¹⁴ Hutę w Trzyńcu (niem.)

– Paul Juroschek! – zawołał radośnie Anton. Podążająca tuż za nim Hermine, również uśmiechnęła się na widok znajomej twarzy. Oboje byli bardzo elegancko ubrani, a pani Gwiggner trzymała małą, czarno-złotą flagę.

– Dzień dobry! – Podniósł dłoń w odpowiedzi. – Rad byłbym was ujrzeć na naszym zamkowym wzgórzu, a tu dane mi uchwycić tę chwilę znacznie wcześniej! Zajmijcie proszę miejsce obok nas. Uchyłę się wam – zachęcił ich gestem, po czym wstał i usiadł obok Johanna, by to szykowne małżeństwo miało całą ławkę dla siebie. W wagonach miejsca siedzące przymocowywano naprzeciwko siebie, by ułatwić podróżnym rozmowę. Chociaż niektórzy narzekali, że w ten sposób nieekonomicznie wykorzystuje się i tak ograniczoną już przestrzeń, to producenci podkreślali, że to rozwiązanie sprzyja nawiązywaniu nowych relacji. W istocie tak się działo. Siedzenie w milczeniu, gdy ktoś zajmował miejsce obok, uchodziło za niegrzeczność.

– Wielu z pańskiej okolicy, ubranych w piękne stroje regionalne, zmierza ku miastu. Pan jednak, żeś nie dał się przekonać... – zagaiła Hermine, widząc Paula w czarnym garniturze, a nie białej koszuli i czerwonym lub czarnym brucliku, które wkładali mężczyźni z wiosek położonych na śląskich wzgórzach w okolicach Jablunkau i Skotschau.

– Stroje w istocie piękne. Nie wyznaję jednakowoż zasady, droga pani Gwiggner, iż mieszkańcy śląskich gór stanowią monolit modowy, a nasze garderoby winny składać się z tego samego zestawu odzienia – odpowiedział z przekąsem. Niektórzy mieszkańcy administrowanej przez niego wsi, pod nosem i nigdy wprost, oburzali się, że wybiera on garnitur zamiast stroju uważanego za jedyny właściwy. Paul miał tego świadomość. Nie pozwalał jednak, by wywierano na nim pod tym względem presję. Nie traktował tradycji jako czegoś obowiązkowego.

– Tłumnie z waszych stron w ostatnim czasie zgłaszają się do pracy – zmienił temat Gwiggner, kiedy zauważył, jak siedzący naprzeciwko wójt Koniakau zaczerwienił się, tracąc pewność, czy to dobrze, że tego dnia włożył strój regionalny.

– Jakże mnie to raduje! Iluż naszych przynależnych na tę chwilę zatrudniamie? – Kiedy powoływał do istnienia punkt informacyjny, zależało mu, by motywować młodzież do podejmowania pracy w przemyśle. Stanowiła ona stabilne źródło utrzymania, szczególnie dla wielodzietnych rodzin, w których zgodnie z tradycją najczęściej tylko jedno dziecko otrzymywało całą ziemię. Reszta była zdana na siebie.

– Paul! Precyzyjności to mi się jeno uczyć od ciebie! – Nachylił się i poklepał go po kolanie. – Mniej więcej będzie to ze stu mężczyzn i kilkanaście niewiast. Powiem ci jednak ciekawsze! Jeden z chłopców, rodem z waszych wzgórz, niejaki Franz Waschut, otrzymał ostatnio promocję i przeniesiemy go do zakładowego sekretariatu. Wybornie poczyną sobie w kontaktach z ludźmi, jest życzliwy, błyskotliwy i nienagannie posługuje się niemiecką mową! Stąd jego nowe stanowisko, a co za tym idzie lepsza tygodniówka. – Gwiggner ściśle współpracował z wieloma okolicznymi urzędami. Prosił wójtów i burmistrzów o polecanie młodych, którzy mogliby w przyszłości obejmować stanowiska kierownicze po starzejącej się kadrze. Paul jako nieliczny, zapewniał kandydatom także przygotowanie do zawodu od strony obycia. Poświęcał godziny, by uczyć ich kultury.

– Znam go, odkąd stawiał swe pierwsze kroki. Prawdę powiadasz, iż wyróżnia się spośród innych. Pamiętam, jak upraszał mnie o lekcje niemieckiego, bowiem w jego domu jeno po śląsku bądź po morawsku. Już wówczas rozmyślał o przyszłości, a miał nie więcej niż dwanaście lat! – wspominał, choć jego słowa ponownie zakłócił gwizdek i głośne zawołanie konduktora: „*Nächste Station – Teschen*”¹⁵.

Przepełniony pociąg ruszył w dalszą trasę. Podróżni gromadzili się nawet w przejściach. Niektórzy, mniej ostrożni, napierali na siedzących. Słychać było wzdychania, oburzenia, przeprosiny, rzadziej kłótnie. Mnóstwo osób chciało być tego dnia w mieście, stąd przymykano oczy na warunki, w jakich przebiega podróż.

¹⁵ „Następna stacja – Cieszyn!” (niem.)

Paul spojrział na słończony tłum. Mężczyźni zadbali o staranne przystrzyżenie włosów i wąsów, a kobiety ubrały swoje najcenniejsze suknie i czepce. Co bogatsi użyli perfum, dostępnych w sprzedaży jedynie w miastach. Byli też tacy, dla których głównym celem tego dnia była kradzież. Niecodziennosc okazji usprawiedliwiała ich sumienia. Rzadko zdarzało się, by tysiące mieszkańców całego kraju koronnego, a nawet okolicznych ziem, podążało w to samo miejsce. Różne języki i dialekty mieszały się w wagonowym gwarze. Dźwięczały miejscowe narzecza śląskiego, literacki niemiecki, gwary galicyjskie, morawskie, czysta polszczyzna, a nawet gwary używane w Górnych Węgrzech, potocznie zwanych Słowacją. W okolicach miasteczka Jablunkau, gdzie mieszkał Paul, dominowała jabłonkowska odmiana języka śląskiego, będąca mieszańką słowiańsko-germańską. Im dalej na zachód Śląska, tym odmiany brzmiały bardziej niemiecko, zarówno po jego austriackiej, jak i pruskiej stronie.

Lokomotywa ciągnęła za sobą siedem wagonów. Nie chcąc dopuścić do mieszania się klas, pracownicy kolejowi skrzętnie sprawdzali numer wagonu znajdujący się na bilecie każdego pasażera. Im bardziej oddalony od lokomotywy on był, tym ciekawsze indywidua się w nim znajdowały. Pierwszy dedykowano bogatszym przedsiębiorcom, przedstawicielom władz i duchowieństwu. Z kolei na samym końcu podróżowali ci, którym ledwo udało się wstać po sobotnim uczczeniu tygodniówki w lokalnej hospodzie, gospodzie bądź gasthausie.

Po kilkunastu minutach pociąg zaczął hamować, a wójtowi Koniakau, który wciąż siedział bez słowa, z wzrokiem wlepionym w zmieniający się obraz na zewnątrz, serce stanęło w gardle. Paul widząc jego zdenerwowanie, poklepał go po udzie, co nie uszło uwagi Gwignnerom. Po chwili, trwającej dla Legerskiego wieki, konduktor zawołał wyczekiwane „*Station Teschen*”, co stanowiło dla pasażerów sygnał, że mogą wysiąść. Ściśnięty tłum zaczął wylewać się na peron dworca, który tego dnia lśnił czystością. Wysiadający napierali na siebie tak bardzo, że niektóre kobiety zaczęły spadać z żeliwnych schodków, wskutek czego kaleczyły się i rozrywały swoje suknie. Kiedy zobaczyli to strzegący porządku żandarmi, od razu rzucili się do pracy.

– Dotrzymam ci kroku, jeśli zaznasz dzięki temu ukojenia – zaproponował Paul, wychodząc z pierwszego wagonu.

– Ja, dziynka. – Skinął, nie spuszczać wzroku z pleców swojej ostoi.

Paul pomachał Gwiggnerom, którzy resztę podróży postanowili odbyć automobilem. Piesza wędrowka nie należała do najłatwiejszych. Paul i Johann po wydostaniu się z budynku dworca, niesieni rzeką ludzi znaleźli się na ulicy Sachsenberg. Chociaż słońce wyzierało zza chmur, było zimno, jak na tę porę roku. Temperatura nie przekraczała dziesięciu stopni, co na początku września stanowiło ewenement. Nie przeszkadzało to jednak nikomu, aby przede wszystkim skupić się na świątecznej atmosferze. Zatłoczona ulica, gospody otwarte od samego rana, a także wysprzątane bruki wskazywały, że w mieście dzieje się coś niezwykłego, przez co nawet pogoda nie była tematem do zagajania rozmów.

Miasto wyglądało nadzwyczaj elegancko. Zadbano o każdy szczegół, a ulice sprzątano przez cały tydzień poprzedzający tę niedzielę. Przy takich okazjach wychodziły na wierzch śląskie cechy wspólne, takie jak zamiłowanie do porządku. Gospodynie, niezależnie od statusu społecznego, dokładały starań, by okna wychodzące na ulicę lśniły czystością. Wiele z nich wywiesiło austriackie flagi kraju koronnego. Właściciele małych gastronomii, tacy jak cukiernik Protzner, właściciel lokalu tuż obok Likorfabrik M. Fasala, przyczepiali do witryn afisze oferujące rabat dla gości.

– Trza mi tego przeklyntego urzyndu jak psu siana – powtarzał pod nosem Legerski. Jego myśli i emocje zdecydowanie różniły się od uczuć pozostałych uczestników ruchu na Schasenbergu.

– Toż to ledwie cztery kwadranse. Przetrwasz, bracie! – Oglądając oferty dnia, Paul nie odstępował od roli pocieszyciela.

– Pryndzy čako mie kiyrchof¹⁶. Kaj¹⁷ takiymu jako jo pchać sie na paface... Cafe žyci posfech krowy, a tego sie trza było dyrzić¹⁸ – głądził.

¹⁶ cmentarz (śl.)

¹⁷ Gdzie (śl.)

¹⁸ trzymać (śl.)

– Nie wiedzieć czemu, uznajesz, iż pojawienie się tu w towarzystwie inwentarza rozładowałyby twe napięcie. Nie śmiem jednak podważać twych wypróbowanych metod – zażartował, choć Legerski nie podzielał jego poczucia humoru.

– Nale dziwiejcie się! – wrzasnął, jednak w takim ścisku i gwarze nie przykuło to niczyjej uwagi. – Do miasta przyszlście i zrobiło się z was wymöndrzajönce sie panisko! – oburzył się, ponieważ nie zrozumiał do końca intencji Paula. Ścisł brzucha nasilający się z każdym kolejnym krokiem zaciemniał mu trzeźwy osąd.

Gdy przeszli most łączący dwie strony miasta, cel ich podróży pozostawał oddalony już zaledwie o kilkadziesiąt metrów. Ze wzgórza zamkowego słycać było orkiestrę strojącą instrumenty. Wstęp miały tam tylko osoby z pisemnym zaproszeniem. Z racji pełnionych funkcji zarówno Paul, jak i Johann, takim dokumentem wylegitymowali się przed bramą główną, po czym weszli na dziedziniec. Przy brukowanych chodnikach znajdowały się stoły przykryte białymi obrusami, na których czekało mnóstwo smakowicie wyglądających przekąsek. Chociaż przygotowano je dla przybywających gości, Johann nie odważył się spróbować żadnej z nich. Stał w znacznej odległości od tłumu, błądząc ze strachu. Zupełnie inaczej zachowywał się Paul. Zagadywał znajomych, kosztował specjalistów zamkowej kuchni i od czasu do czasu zerkał w stronę orkiestry. Okazja do pieszczony zmysłów była iście niecodzienna.

Chwilę przed dziewiątą jeden z mężczyzn ubrany w oficerski mundur przykuł uwagę wszystkich, wydając głośny okrzyk. Obok niego w mgnienu oka stanęło siedmiu innych przedstawicieli armii. Na rozkaz każdy z nich zaczął grupować gości. Pierwszy poprosił duchowieństwo katolickie. Proboszczowie poszczególnych parafii stanęli w szeregu najbliżej wjazdu na dziedziniec. Drugi zwołał duchowieństwo ewangelickie i oficerów. Trzeci z wojskowych poprosił posłów Reichsratu¹⁹ w stolicy cesarstwa oraz posłów Schlesischer Landtag²⁰. Czwarty zgromadził przedstawicieli urzędów wiejskich, których w delegacji znalazło się

¹⁹ Reichsrat (niem.) – Rada Państwa Austro-Węgier w Wiedniu.

²⁰ Schlesischer Landtag (niem.) – Śląski Sejm Krajowy w Opawie (Troppau).

dziesięciu. Wśród nich stanął Paul, pełniący rolę wójta wsi Istebna. Piąty oficer poprosił przedstawicieli różnorodnych lokalnych towarzystw, takich jak niemieckie Deutsches Haus, polska Macierz Szkolna dla Księstwa Cieszyńskiego czy czeska Matice osvěty lidové pro knižectví Těšínské. Szósty zgrupował przedsiębiorców, zarządców fabryk, kopalń oraz hut. To w tym szeregu stanął Anton Gwiggner, którego Paul spotkał w pociągu. Ostatnią grupę stanowili przedstawiciele synagog żydowskich. Zjechali na tę okazję do Teschen z całego kraju koronnego, przez co ich delegacja nie odbiegała liczebnie od innych, choć Żydów w regionie było znacznie mniej niż katolików i luteranów.

Punktualnie o dziewiątej rano elegancki powóz, ciągnięty przez dwa białe konie, zajeżdżał na wewnętrzny dziedziniec zamkowy. Jako pierwszy wysiadł z niego pięćdziesięcioletni arcyksiążę Friedrich, książę cieszyński, władający regionem od jedenastu lat. Jego widok wywołał westchnienia niektórych zebranych. Słynął z ogromnej skuteczności i dalekowzroczności w kwestiach ekonomicznych. Inwestował w region, dzięki czemu imigracja na Śląsk Austriacki w trakcie jego rządów znacznie przyspieszyła.

Po chwili pojawił się także długo wyczekiwany gość, cesarz Franz Josef, ubrany w swój jasnoniebieski mundur galowy. Liczący siedemdziesiąt sześć lat monarcha wizytował miasto Teschen po raz czwarty. Kiedy tylko jego stopa dotknęła ziemi, orkiestra przystąpiła do wykonania *Volkshymne* Haydna. Cesarz wyprostował się i po odczekaniu stosownego czasu podążył w stronę Karla Heinolda, prezydenta Śląska Austriackiego. Ten uklonił się zgodnie z etykietą. Monarcha odwzajemnił uśmiech i uściśnął jego dłoń. Heinold wskazał siedem grup, które stały w uporządkowanych szeregach, dając do zrozumienia, że są to umówione wcześniej delegacje, którym Franz Josef winien poświęcić swój czas. Hymn cesarstwa grany przez orkiestrę składającą się z najwybitniejszych muzyków, sprowadzonych na tę okazję z różnych miast kraju, a nawet sąsiedniego pruskiego Śląska, zmierzał do ostatniej nuty. Tuż po niej kardynał Georg von Kopp, książę biskup Breslau, uznawany za najważniejszą osobistość kościoła katolickiego w tych stronach, podszedł do cesarza. Tego dnia spotkali się wcześniej na porannej mszy. Kopp przyjechał na tę okazję do Teschen ze stolicy kraju

koronnego, Troppau, gdzie mieszkał. Mimo politycznego podziału Śląska, katolickie granice przebiegały mniej więcej wedle rysów ustalonych jeszcze za czasów Starej Rzeszy.

– Najjaśniejszy panie, zechciej, bym w imieniu całego ludu śląskiego złożył podziękowanie za twą wizytę w tymże pięknym mieście! – Kopp wznosił ręce ku niebu, po czym skinął głową. – Jako zwierzchnik dusz tej prowincji pragnę zapewnić o miłości, jaką darzy cię tutejsza ludność. Duchowieństwo katolickie, mimo trudnego położenia, usilnie pracuje, ażeby szerzyć wśród nich moralność i bogobojność, rozniecając zarazem w ich sercach miłość ku dostojnej osobie Najjaśniejszego pana! – ciągnął kardynał, dając odczuć duchowieństwu ewangelickiemu, że to oni są przyczyną trudnego położenia.

Paul, który stał w czwartej grupie, uważnie przypatrywał się zającui. Tłum wyglądał jak oczarowany. Nieczęsto zdarzało się, by jednocześnie tyle ważnych postaci z całego cesarstwa znajdowało się na wyciągnięcie ręki. Oprócz kardynała Koppa i prezydenta Heinolda na spotkanie z cesarzem przybyli także marszałek Śląska Austriackiego hrabia Heinrich Larisch von Mönlich, burmistrz Teschen Leonard Demel von Elwehr, starosta okręgu politycznego Artur Jirassek czy superintendent Morawsko-Śląskiego Kościoła Ewangelickiego Theodor Haase. Paul oglądając tę sytuację i zachowanie zebranych ludzi, westchnął w sercu. Dla niego było czymś niepojętym, że tytuł nadany jakiemuś człowiekowi potrafi tak diametralnie zmienić to, jak postrzegają go inni.

Po przemowie kardynała, której rozproszony swoimi myślami Juroschek nie wysłuchał do końca, cesarz podszedł do pierwszego z siedmiu szeregów. Duchowieństwo katolickie reprezentowali proboszczowie parafii wchodzących w skład wschodniego Śląska Austriackiego, a także kilkunastu z zachodniej części kraju, przede wszystkim tych zlokalizowanych bliżej Teschen. Franz Josef podał dłoń wszystkim po kolei, zadał kilka pytań, po czym podszedł do drugiego szeregu. Prezydent Heinold, tego dnia pełniący rolę asystenta, cały czas mu towarzyszył i informował, kogo reprezentują mężczyźni wchodzący w skład poszczególnych grup. Każdy z szeregowców miał za zadanie przedstawić się, a także, w razie potrzeby, udzielić odpowiedzi na pytania monarchy.

Podczas krótkiej rozmowy z Theodorem Haase, ewangelickim odpowiednikiem von Koppa, cesarz zadał pytanie o fenomen protestantyzmu w tej części Austrii. Choć dobrze znał odpowiedź, chciał w ten sposób okazać mu swoje zainteresowanie. Pastor udzielił wyczerpującego wyjaśnienia i podkreślił, że tylko w samym Teschen prawie jedna trzecia mieszkańców jest wyznania luterńskiego, a w niektórych wsiach katolików można policzyć na palcach jednej ręki. Habsburg podziękował mu, po czym poszedł dalej.

Przy trzeciej grupie stojących w szeregu strojnych panów Franz Josef nie zabawił zbyt długo. Być może decyzję o tym podjął tuż przed rozpoczęciem z nimi rozmowy, gdy prezydent oznajmił, że są to członkowie Rady Państwa i Sejmu Śląskiego. Dysputy z politykami potwornie go nużyły, tym bardziej, że większość z tej śmietanki za cel obierała sobie jedynie umizgi i wydeptywanie ścieżek na cesarski dwór.

Zanim Franz Josef zdążył podejść do czwartej grupy, wójt Koniakau zbladł. Jego kolana zrobiły się miękkie, gdy spojrzał na zbliżającego się cesarza. Z trudem utrzymywał równowagę. Zataczając się, chwycił za łokieć Paula, który stał tuż obok.

- Usiądź bracie, całyś niczym wapno! – Juroschek przestraszył się, widząc jego stan. Młodzieniec wyglądał bardzo źle.
- *Schlag*²¹... – wybełkotał, łapiąc pion i prostując się jak struna.
- Jakżeś się gorzej poczuł... – szeptem tłumaczył Paul, podczas gdy stojący po jego lewej stronie wójt wsi Jaworzinka zaczął go uciszać, klepiąc mocno w dłoń. Juroschek zrugął go spojrzeniem. Uważał, że etykieta ma drugoplanowe znaczenie w obliczu potencjalnego omdlenia towarzysza.

Wójt Koniakau wzięwszy głęboki oddech, otrząsnął się, po czym wyszeptał: „Wydyrzym”²², ucinając w ten sposób niemy spór. Prezydent przyprowadził cesarza do ich szeregu, który liczył dziesięciu mężczyzn. Trzech z nich ubranych było w strój regionalny, na który między innymi

²¹ *Schlag* (niem.) – określenie używane do podkreślenia złego stanu, samopoczucia.

²² Wyrzynam (śl.)

składał się fikuśny czarny bruclik z wielkimi pomponami. Wywołało to uśmiech na pomarszczonej twarzy monarchy. Ten element garderoby spodobał mu się najbardziej. Od razu poprosił jednego z nich, aby się przedstawił.

– Paul Raschka, *aus Weichsel*²³ – odpowiedział niemal żołnierskim tonem. Chociaż dobrze znał niemiecki, od wielu dni powtarzał tę formułkę z obawy przed pomyłką. Moment po jej wypowiedzeniu stał się jednocześnie pierwszą i długo wyczekiwaną chwilą ulgi.

– Jaką tradycję reprezentuje wasz strój, wójcie? – cesarz zapytał z charakterystyczną dla siebie ciekawością, co wywołało nawrót przerażenia Raschki, który był przekonany, że wcześniejsze zdanie zakończyło tę stresującą rozmowę.

– Tak ubierają się mężczyźni w śląskich górach. Ja jestem z Gerichtsbezirk Skotschau²⁴, ale w okolicach Jablunkau też go noszą – tłumaczył, wskazując jednocześnie palcem na bladego Johanna Legerskiego, wójta Koniakau i Michaela Legerskiego, wójta Jaworzinki.

– Bardzo pięknie! – powiedział z uśmiechem Franz Josef. – A jak długo służyte w charakterze wójta? – dopytał na odchodne, zapewniając mu ostatnią partię zimnych potów.

– Od 1876 roku, to jest trzydzieści lat, Najjaśniejszy panie – odpowiedział, lekko się rozluźniając.

– Bardzo pięknie! – ponownie skomentował cesarz i podał mu dłoń. Raschka ukłonił się, a jego twarz zaczęła wracać do naturalnych kolorów.

Cesarz zrobił krok w prawo i stanął twarzą w twarz z kolejnym przedstawicielem urzędów wiejskich. Tym razem był to równie przerażony, co blady, Johann Legerski. Dłonie drżały mu nieprzerwanie, odkąd wsiadł do pociągu, jednak w tym momencie osiągnął apogeum tego stanu, czego nie potrafił ani powstrzymać, ani ukryć. Drżały mu także powieki i usta.

²³ z Wisły (niem.)

²⁴ Powiatu Skoczów (niem.)

Staremu monarsze zrobiło się żal tego biednego młodzieńca, który był tak zestresowany, że zapomniał się przedstawić.

– Franz Josef von Habsburg, dzień dobry... – zaczął z uśmiechem cesarz.

– Johann *aus* Konioków... Legerski, fojt. Koniakau... fojt Koniakau, znači *gemeindevorsteher*²⁵ – mieszał określenia znane sobie mniej lub bardziej. Przygotowywana wcześniej formułka zaginęła w jego pamięci.

– Bardzo wczesnie objęliście urząd, musicie cieszyć się szacunkiem waszej społeczności. Ileż to już macie lat, *Herr Vogt*? – dopytał, używając zapomnianego już słowa „*vogt*”, które w tej części Śląska, używano w formie „fojt”.

– Dwadzieścia pięć... chyba... – Nie był pewny, czy użył poprawnej niemieckiej formy, chociaż zabrzmiał jakby był nieprzekonany co do tego, ile ma lat.

– Jaki język ty mówić? – zapytał prosto i po polsku Habsburg.

– Po naszymu²⁶ – odpowiedział równie konkretnie, po czym ponownie wziął głęboki oddech, chroniąc się przed omdleniem.

– Cóż to oznacza? – zapytał prezydenta Heinolda cesarz.

– O ile mi wiadomo, w tamtych okolicach wielu używa mowy zwanej jabłonkowską odmianą języka śląskiego. To ponoć morawsko-galicysko-germańskie narzecze z wieloma wtrąceniami. Niektórzy Ślązacy z pogórza jabłonkowskiego się nim posługują – wytłumaczył pobieżnie. Postawił sobie jednak za cel dowiedzieć się więcej na temat mowy mieszkańców tych skrawków kraju koronnego, którym zarządzał.

Cesarz podziękował i uściskał dłoń Johanna. Ten schylił głowę najniżej jak tylko potrafił, zataczając się przy tym. Jego otumaniony wyczerpującą wymianą zdań umysł nie zapanował nad tak nagłym ruchem. Monarcha zbliżył się w końcu do Paula.

²⁵ naczelnik gminy (niem.)

²⁶ Po naszymu (śl.) – [w domyśle] po śląsku.

- Paul Juroschek, *aus* Istebna – przedstawił się spokojnym tonem i z uśmiechem na ustach. W przeciwieństwie do pozostałych nie czuł ani strachu, ani ekscytacji.
- Od jak dawna pełnicie urząd? – zapytał standardowo cesarz.
- Piastowałem go dwukrotnie. Pierwszy raz od 1885 do 1888 roku, a obecnie od 1891 roku. Łącznie osiemnaście lat – odpowiedział precyzyjnie, używając nienagannego niemieckiego.
- Skąd ta trzyletnia przerwa? – zaciekawił się Franz Josef.
- Wygrał wówczas ten, który skuteczniej przekonał elektorat. Czyż nie na tym polegają w końcu wybory? – Uśmiechnął się. Cesarz odwzajemnił uśmiech, podał dłoń Paulowi, a ten, ku zaskoczeniu pozostałych zebranych, nie pokłonił się w pół, a jedynie skinął głową w podzięcie za krótką rozmowę. Stojący obok niego wójt sąsiedniej wsi Jaworzinka wybałuszył oczy, jednak szybko się opanował, gdy sam przystąpił do rozmowy z monarchą.

Chwilę po tym, jak cesarz zakończył ostatnią rozmowę w czwartym szeregu, jeden z wójtów, niejaki Stonawski, piastujący urząd w miejscowości Nieder Lischna, wystąpił z przemową napisaną przez siebie w imieniu wszystkich wójtów. Stał dwa kroki przed szeregiem, w niedalekiej odległości od monarchy. Wziął głęboki oddech. „Najjaśniejszy Panie! Wielki zaszczyt nas spotkał, żeś przybył w te strony. Lud wiejski pragnie zapewnić cię o swym przywiązaniu i miłości. Niech żyje cesarz Franz Josef!” – przeczytał z karteczki, którą wyciągnął ze spodni, po czym padł na kolana, oddając mu cześć.

W ślad za nim poszli pozostali. Jeden po drugim padali u stóp władcy z zawołaniem „Niech żyje!” na ustach. Paul jako jedyny pozostał na nogach. Stał wyprostowany, nie ulegając presji. W rzeczywistości czuł zażenowanie. Niemal natychmiast fala szeptów zalała Wzgórze Zamkowe. Widząc zachowanie Juroschka, kardynał von Kopp podszedł do jednego z żandarmów i zaczął nakazywać mu coś na ucho, wymachując przy tym zacisniętą pięścią. Prezydent Heindold rozpaczliwie szukał wzrokiem oficerów, a inicjator spontanicznego pokłonu podniósł się spoglądając z wyrzutem na Paula.

Widząc zgiełk oraz oburzenie zebranych, sam monarcha cofnął się i zmierzył wzrokiem szeregi. Klasnął w dłonie, po czym utkwił wzrok w Paulu. Gestem rozkazał pozostałym wójtom podnieść się z kolan. Milczał chwilę, dopóki całego wzgórza nie ogarnęła cisza.

– Jak wyrzekł przed laty nasz wybitny pisarz, Goethe, „błąd łatwiej dostrzec niż prawdę”. Czyż wiecie, dlaczego? Sam mistrz pióra udzielił odpowiedzi, pisząc, iż „błąd leży na wierzchu, a prawda w głębi” – zacytował, po czym skierował się w stronę piątego szeregu, gdzie oczekiwali zaszokowani przedstawiciele niemieckich, polskich i czeskich towarzystw.

Choć szeptury ustały, nie można było powiedzieć tego o pogardliwych spojrzeńskich skoncentrowanych na Paulu. Nawet Anton i Hermine Gwiggnerowie, których wcześniej spotkał w pociągu, patrzyli na niego ze zdziwieniem.

Chwilę po godzinie dziesiątej przed południem zakończyły się spotkania ze wszystkimi zaproszonymi tego dnia reprezentantami ludu. Franz Josef podziękował im za przybycie, składając krótkie życzenia po niemiecku, polsku i czesku. Poprosił, aby obecni przekazali je w swoich społecznościach. Następnie w towarzystwie prezydenta Heinolda, arcyksięcia Fridricha i kilku innych prominentów wszedł do pałacu. Po zniknięciu monarchy oficer wydał okrzyk i ogłosił, że oficjalna część przyjęcia delegacji kraju koronnego Śląsk Austriacki dobiegła końca.

– Gańba! – jak na sygnał rzucił wójt wsi Jaworzinka w stronę Paula. – Coby tak się upodlić dło rozgłosu! Idź preč²⁷! – wrzasnął.

– Ja z kolei ciebie podziwiam! Tak niskich pokłonów pozazdrościłby niejeden gimnastyk... – kąśliwie odpowiedział Paul – ...pogawędziłbym, jednakowoż się śpieszę – uciął, czując, że docinki mogą doprowadzić do poważniejszego konfliktu.

– Dowej se pozór²⁸, coby ta möndrość ci nie zaszkoziła! – Pogroził palcem. Miał ochotę na publiczną kłótnię, ale powstrzymała go

²⁷ precz (śl.)

²⁸ Uważaj sobie (śl.)

obecność żandarmerii. Sam Paul nie oglądając się za siebie, zniknął w bramie.

Kiedy szedł starannie wybrukowaną ulicą w stronę mostu, zawołał za nim Gwiggner. Juroschek odwrócił się. Dostrzegł, że oprócz zarządcy werku, wzrokiem śledzi go także, już bardziej rumiany, wójt wsi Koniakau.

– Nie rozumiem Paul... Naprawdę nie wiem, cóżes chciał osiągnąć. Przecie jesteś człowiekiem szlachetnym – skomentował Gwiggner, roztargniony tym, co zobaczył.

– Bracie, „w kształtowaniu się każdego człowieka przychodzi taki czas, gdy nabiera on przekonania, że naśladownictwo jest samobójstwem”²⁹ – zacytował Emersona, którego czytał od jakiegoś czasu. – Wybacz, muszę iść. Bywaj zdrow! – Podniósł dłoń na pożegnanie i oddalił się.

Nie więcej niż minutę później, gdy był już za mostem, dobiegło do niego dwóch żandarmów. Mocno chwycili go za ramiona. Skonsternowany odwrócił się i cofnął, dając sygnał, że doza delikatności, jaką zaprezentowali, była stanowczo za mała.

– Pójdiesz z nami! – zakomunikował po polsku wyższy przedstawiciel władzy.

– *Půjdeš s námi!* – powtórzył niższy przedstawiciel, tym razem po czesku, myśląc, że wójt wsi Istebna wygląda bardziej na kogoś z tego kręgu językowego.

– Towarzystwo już poznałem, a cel podróży który z szanownych panów przedstawi? – zapytał po niemiecku.

– Prezydent Karl Heinold posłał! Za mną!

²⁹ Ralph Waldo Emerson, *Poleganie na sobie*.



To dopiero początek. Przed Tobą kolejne 17 rozdziałów książki. Historia, która obnaży to co w ludziach rodzi skazy człowieczeństwa. Dowiedz się więcej.

Zamów książkę na www.latzel.pl

Zeskanuj poniższy kod by odwiedzić stronę wydawnictwa.



Możesz także zamówić książkę mailowo lub telefonicznie.

Wydawnictwo Latzel
kontakt@latzel.pl
Tel. +48 798 849 493

Zapraszamy!

